

# Laos, nieodkryty skarb Indochin



ISSN: 2719-9282

**Krzysztof Danielewicz**



Security  
in practice



## Laos, nieodkryty skarb Indochin

Opracował: Krzysztof Danielewicz, 2023 r.

### Dzień pierwszy (4.04.2023) – przelot z Siem Reap do Pakse w Laosie

Wyjazd do Laosu połączyłem z wyjazdem do Kambodży. Dla mnie osobiście Laos jest najmniej znanym krajem w tym regionie świata, a przez to – najbardziej tajemniczym i ciekawym. Wyruszyłem tam 4 kwietnia z Siem Reap, cudownego miasta w Kambodży.

Rano – po dłuższym spaniu i szybkim śniadaniu – o godzinie 9.45 udałem się na lotnisko międzynarodowe w Siem Reap z zamiarem lotu do Laosu do miasta Pakse, które jest stolicą południowego Laosu. Przy okazji miałem okazję podziwiać zbudowane przez Francuzów lotnisko w stylu khmerskim, zresztą bardzo ładne. Kierowca powiedział, że wkrótce lotnisko zostanie przeniesione na inny obiekt, zbudowany przez Chińczyków. Nie do końca rozumiem decyzję, ponieważ obecne jest bardzo ładne i wszystkie procedury postępują na nim bardzo szybko.



Zdjęcie 1. Lotnisko międzynarodowe w Siem Reap w Kambodży.

Po niespełna godzinie wylądowałem w Pakse w Laosie. W trakcie podróży laoskimi liniami lotniczymi otrzymaliśmy skromny posiłek i dokumenty imigracyjne, w tym wniosek o wizę do wypełnienia. Kiedy jeszcze w Polsce przygotowywałem się do podróży i szukałem informacji na temat sposobu otrzymania wizy do Laosu, zazwyczaj znajdowałem propozycje skorzystania z usług pośrednika, co kosztowało prawie trzy razy tyle co powinno i wymagało wysłania paszportu do Berlina przynajmniej miesiąc przed terminem wyjazdu. Dodatkowo pośrednicy zachęcają, aby to zrobić wcześniej z uwagi na oszczędność czasu itp. Tymczasem na miejscu okazało się, że wszystko przebiegało tak samo szybko jak w Kambodży. W samym Pakse wysiadło może ze 20 osób, z czego w kolejce byłem pierwszy. Przekazałem wypełniony dokument, jedno zdjęcie paszportowe (pan wybrał sobie jedno z kilku, które miałem), zapłaciłem 40 USD w gotówce i po około pięciu – siedmiu minutach miałem wizę. Proces otrzymania wizy w Kambodży czy Laosie jest bardzo szybki i łatwy, nie ma więc najmniejszego sensu przepłacać i wysyłać swój paszport w podróż po Europie... Po odebraniu bagażu udałem się do kantoru wymienić 200 USD na lokalną walutę (kip laotański, LAK), gdzie przelicznik jest około 16 tys. LAK za jednego dolara. Pani chyba chciała mnie oszukać, bo kiedy zacząłem liczyć ogromny plik kasy, po chwili doniosła mi kolejne kilkaset tysięcy...



Zdjęcie 2. Lotnisko międzynarodowe w Pakse, w Laosie.

Oczywiście, jak na każdym lotnisku na świecie, po chwili podszedł do mnie młody człowiek z pytaniem, czy potrzebuję taxi. Jak zawsze odpowiedziałem, że to zależy, za ile. Po chwili

targowania zawiózł mnie za 9 USD do hotelu. Miał on znacznie niższy standard niż wcześniejsze, ale był za to bardziej rodzinny i spokojny. Zresztą, od razu zauważyłem, że Laos jest dużo spokojniejszy, mniejszy niż Kambodża czy Tajlandia. Wiedziałem z opinii innych klientów, że właściciele mojego hotelu są bardzo pomocni we wszystkich kwestiach, jako kupowanie biletów lotniczych czy wycieczek. Potwierdziło się to, bo w ciągu dosłownie dwudziestu minut miałem opłacony hotel, kupiony bilet lotniczy do Luang Parabank, kupioną wycieczkę na wspaniałe wodospady kolejnego dnia i objazd Pakse. Na zakończenie poprosiłem jeszcze o obiad, za który zapłaciłem 3,5 USD. Generalnie ceny w Laosie są o dolar – półtora dolara niższe niż w Kambodży.



Zdjęcie 3. Tuk tuki w Laosie są w dużo gorszej kondycji technicznej i innym stylu.

Około 16.45 pojechałem tuk tukiem – ale nie takim pięknym jak w Kambodży – na objazd miasta i zobaczyć złotego Buddę. Oczywiście, jak wszędzie Budda był na najwyższej możliwej górze, na którą musiałem się w upale wdrapywać. Za to miałem stamtąd piękny widok na Mekong i miasto, które zdecydowanie jest spokojniejsze niż wszystko, co do tej pory widziałem. Wracając, zauważyliśmy duży korek i poruszenie na moście przez Mekong. Okazało się, że chwilę wcześniej młoda kobieta rzuciła się z mostu, chcąc popełnić samobójstwo. Szczęśliwie okazało się, że przeżyła upadek, ale siedząc na brzegu, wzbudzała



duże zainteresowanie gapiów. Po pewnym czasie opiekujące się nią osoby schowały ją do pobliskiej chaty. Kiedy wróciliśmy, właścicielka hotelu powiedziała, że to siódma próba samobójstwa w ciągu dwóch tygodni i jest to coś bardzo dziwnego.



Zdjęcie 4. Mój hotel w Pakse, typowy rodzinny pensjonat z dala od miejskiego gwaru, ale z wyjątkowo pomocnymi i uczynnymi właścicielami.



Zdjęcie 5. Posąg Buddy w Pakse.

Po wizycie u Buddy na wysokiej górze pojeździliśmy trochę po mieście, gdzie zjadłem obiad, zakupiłem „odkażacz” – ukraińską wódkę – i odwiedziłem lokalny targ. Po wszystkim wróciłem do mojego hotelu wyciszyć się i spisać najważniejsze wrażenia. Zauważyłem całkiem sporą grupę turystów z Europy, z których część zaliczała kurs gotowania potraw laoskich. Sam zamówiłem na jutrzejszą kolację jedną z ryb, chyba lokalnego suma, którego wiele razy widziałem na różnych filmach na Instagramie, zanim tu

przyjechałem. Miałem okazję podziwiać, jak Azjaci potrafią go wydobyć z mułu przy wykorzystaniu różnych technik.



Zdjęcie 6. Widok na Mekong w Pakse.



Zdjęcie 7. Most w Pakse, z którego skaczą samobójcy.



Kiedy siedziałem wieczorem, byłem świadkiem, jak przyjechał mąż właścicielki z dziećmi. Po chwili córka właścicielki, w wieku około sześciu – siedmiu lat, podeszła do każdego ze stolików i bardzo grzecznie powiedziała: „Dzień dobry”. Coś w zasadzie prostego, ale np. w Polsce prawie niewystępującego. Pamiętam do dzisiaj, że największe przestępstwo, które mogłem popełnić jako młody chłopak, to niepowiedzenie sąsiadowi prostego „dzień dobry”. Z mojego już, niestety prawie pięćdziesięcioletniego doświadczenia wiem, że prawie całe wychowanie ogranicza się do nauki wykorzystania i zrozumienia trzech zwrotów: „proszę”, „dziękuję” i „przepraszam”. Tutaj widać dodano także „dzień dobry”.







*foto. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 8–10. Pakse.



*foto. Krzysztof Danielewicz*













Zdjęcie 11–15. Targowisko w Pakse.





Zdjęcie 16–17. Pakse po zmroku..





*fot. Krzysztof Danielewicz*





Zdjęcie 18–19. Nocny market w Pakse.



Zdjęcie 20. Zamówione przeze mnie sumy.



## **Dzień drugi (5.04.2023) – wycieczka z Pakse na the Bolaven Plateau**

Dzień wcześniej za około 30 USD kupiłem całodzienną wycieczkę na tzw. The Bolaven Plateau. Generalnie z tego, co przeczytałem, miałem tam zobaczyć największe w Laosie wodospady, plantacje kawy i herbaty oraz odwiedzić dwie wsie. Bus był opóźniony i zamiast o 8.00 zacząłem wycieczkę o 9.00. W samochodzie oprócz kierowcy – pani Simi – jechały z nami trzy Francuzki: dwie z Paryża i jedna z Tuluzy. Kobiety były bardzo sympatyczne i gadatliwe, widać, że wakacje dobrze im służyły.





Zdjęcie 21. Moje sympatyczne koleżanki z Francji.

Pierwszym przystankiem po około czterdziestu minutach był studwudziestometrowy, najwyższy w Laosie bliźniaczy wodospad Ted Fan. Woda spadała w bardzo głęboki jar. Można było go podziwiać z perspektywy góry po drugiej stronie, ale pomimo odległości widok i tak



robił ogromne wrażenie. Na miejscu były dwa tarasy widokowe oraz ośrodek wypoczynkowy składający się z głównego budynku oraz mniejszych domków pod wynajem. Wszystko na wysokim poziomie położone w lesie w cieniu, naprawdę świetne miejsce na spędzenie dwóch – trzech dni. Dodatkowo odważni mogli skorzystać z trasy zjazdów linowych, składającej się z czterech zjazdów, z czego jeden nad wodospadem, oraz podejść pod kolejne zjazdy. Wszystko w pięknych okolicznościach natury, za kwotę około 55 USD.



Zdjęcie 22. Piękne wodospady Ted Fan.



Zdjęcie 23. Taras widokowy na wodospadem Ted Fan.





Zdjęcie 24. Restauracja i recepcja hotelu nad wodospadami.



Zdjęcie 25. Budynek pod wynajem dla turystów.





Zdjęcie 26. Parking i bazar przy wejściu na wodospad.

Zaraz za ośrodkiem znajdowały się sklep, skansen i kawiarnia, gdzie można było w bardzo miłych i profesjonalnych warunkach zobaczyć drzewka kawy i herbaty oraz elementy do ich wytwarzania. Kawa naprawdę świetna, dwa główne gatunki to arabica i robusta. Wszystko w nadzwyczaj dobrych cenach i na profesjonalnym poziomie. Na miejscu spotkałem turystów z różnych regionów świata, w tym grupkę mnichów. Pojawiła się okazja, aby porobić sobie wspólne zdjęcia, bo ze względu na różnorodność każdy był dla każdego atrakcyjny i ciekawy.



Zdjęcie 27. Uprawa kawy.





Zdjęcie 28. Kawiarnia i świeża kawa.



Zdjęcie 29. Zdjęcie autora z mnichami (zwróć uwagę na podobieństwo fryzur 😊).





Zdjęcie 30. Las bambusowy.





Zdjęcie 31. Mnich na kawce.

Kolejnym przystankiem był równie piękny wodospad Tad Yuang, u podnóża którego znajdowało się małe jeziorko, w którym kilku turystów zażywało kąpieli. Wokół niego położono na różnych wysokościach kładki i punkty widokowe, pozwalające robić dobre ujęcia w różnych kierunkach. Podobało mi się, że spotkałem niewielu turystów – może kilkanaście osób, więc były to naprawdę wspaniałe warunki jak na tak urokliwe miejsce.





Zdjęcie 32. Droga na wodospad Tad Yuang.



Zdjęcie 33. Wodospad Tad Yuang.





Zdjęcie 34. Zabytkowe riksze.



Zdjęcie 35. Starsze kobiety ubrane w tradycyjne stroje.

Kolejny przystanek to obiad w przydrożnym barze, który wybrała nasza opiekunka i kierowca jednocześnie. Miejsce generalnie nie wyglądało na schludne i kiedy dostaliśmy talerz surowych warzyw, skusiłem się tylko na kilka fasolek. Potrawę, czyli zupę z makaronem i mięsem wieprzowym, również zasugerowała nasza opiekunka. Smakowała przepyszenie, a kosztowała około 7 PLN. Laos naprawdę jest najtańszym miejscem na wakacje, jakie w życiu widziałem. Kiedy spożywałem obiad, do baru podjechała na motorkach trójka młodych ludzi, chyba z Francji i Hiszpanii, którzy pokonywali ten cudowny kraj na



motorkach. Generalnie już po dwóch dniach pobytu, biorąc pod uwagę klimat, uważam, że jest to idealne miejsce do takich wojaży.



Zdjęcie 36. Piękno laoskiej przyrody.



Po drodze do kolejnego miejsca zatrzymaliśmy się w jednej ze wsi, gdzie na małym targowisku z owocami i warzywami kilka starszych wiekiem kobiet paliło charakterystyczne duże fajki. Takie same zresztą spotkałem w Wietnamie Północnym w rejonie Sa Pa, u mojej przewodniczki Mimi w domu.



Zdjęcie 37. Targowisko i kobiety palące tradycyjne fajki.





Zdjęcie 38. Lokalna ludność z dużym zaciekawieniem przygląda się turystom: wystarczy się zatrzymać i natychmiast pojawiają się kobiety z dziećmi.

Ostatnim przystankiem wspaniałej wycieczki był cały system kaskad i miniwodospadów o nazwie TadLo lub Tad Lor, w całości zagospodarowany przez ośrodki wypoczynkowe



i restauracje. Na przestrzeni kilkuset metrów znajdują się dziesiątki prowizorycznych wiat, w których ludzie cieszyli się urokami życia. Sam zostałem zaproszony przez grupę uradowanych już Wietnamczyków, abym napił się z nimi wspólnie piwa, co oczywiście z ogromną przyjemnością uczyniłem, ku wielkiej radości naszej przewodniczki i moich koleżanek z Francji.



Zdjęcie 39–40. Kompleks wodospadów TadLo.



W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w jeszcze jednej bardzo urokliwej wsi. Tamtejsi ludzie słyną z tego, że mieszkają w rodzinach nawet po ponad 50 osób i budują swoje trumny jeszcze za życia. Muszę stwierdzić, że nie tylko ta, ale i inne wsie były bardzo urokliwe. Domy są drewniane, a buduje się je tradycyjnie na podporach. Wszędzie słychać małe i charakterystyczne dla Laosu traktorki i ciężarówki, z których niektóre składały się tylko z dwóch kół, silnika i długiego dyszla, a potrafiły jednocześnie ciągnąć naprawdę duże i ciężkie przyczepy. Na polach przez wiele kilometrów dominowały uprawy manioku. Sadzi się go jako kilkunastocentymetrowe patyki, które w kopcach szybko puszczaają korzenie w postaci bulw, podobnie jak ziemniaki. Mijaliśmy wiele skupów manioku, w cenie 10 centów amerykańskich za kilogram mokrego i 40 centów amerykańskich za suchy – naprawdę groszowe stawki, biorąc pod uwagę ogrom pracy. W porównaniu do Kambodży Laos leży dużo wyżej, teren jest pagórkowaty, przecinany wieloma urokliwymi rzekami i ma lepszy, chłodniejszy klimat. Widać ogromne tereny porośnięte lasami, zresztą same wsie i pola uprawne mają wiele drzew i zagajników.



Zdjęcie 41. Uprawa manioku.





Zdjęcie 42. Maniok przygotowany do posadzenia.



Zdjęcie 43. Wspólne chaty, gdzie przygotowywane są trumny.





Zdjęcie 44. Typowa chata wiejska w tym regionie.



Zdjęcie 45. Typowa zagroda rolnika.





Zdjęcie 46. Autor na tle typowej zagrody rolnika.



Zdjęcie 47. Droga przez wieś.



Po powrocie czekała na mnie przepyszna kolacja. Poprzedniego dnia, kiedy byłem na targowisku, widziałem wiele gatunków ryb, w tym małe sumy. Wiele razy wcześniej oglądałem różne filmiki w mediach społecznościowych, jak Azjaci sprytnie łapią te zakopane głęboko w mule ryby. Bardzo interesował mnie ich smak, więc zapytałem mojej gospodyni, czy mogłaby dla mnie kupić i upiec jedną. Zanim zjadłem śniadanie dnia następnego, jej mąż zakupił trzy małe i jeszcze żywe sztuki za 4 USD (podobno). Wieczorem, kiedy ryby zostały mi podane, wyglądały świetnie a smakowały odłotowo i już teraz wiem, dlaczego są tak popularne. Wspaniały dzień ze wspaniałym zakończeniem.



Zdjęcie 48. Pyszne sumiki przygotowane przez moją gospodynię.

### **Dzień trzeci (6.04.2023) – przelot z Pakse do Luang Prabang**

Po pysznym śniadaniu przyszedł czas na pakowanie się i wylot lokalnymi liniami lotniczymi do Luang Prabang na północy Laosu. Rano miałem jeszcze możliwość, aby porozmawiać z właścicielką hotelu. Poza wynajmem dwudziestu pokoi udziela ona także zainteresowanym lekcji kucharskich dotyczących kuchni tajskiej i laoskiej. Pomimo tego, że warunki noclegowe należy ocenić na cztery z plusem, to całość usług – już na pięć z plusem. Składają się na to przede wszystkim rodzinna atmosfera, całkowity spokój, pyszna kuchnia, pomoc w zakupie



biletów lotniczych i organizacji wycieczek czy możliwość zamówienia np. ryby i przygotowania przez właścicielkę na miejscu.

Taksówką dojechałem na bardzo małe lotnisko międzynarodowe, które obsługuje pasażerów zarówno na liniach lokalnych, jak i międzynarodowych. Na miejscu spotkała mnie duża niespodzianka, bo na ten sam samolot czekały także moje trzy przesympatyczne znajome Francuzki. Chwilę pogawędziliśmy – przy każdym kolejnym spotkaniu atmosfera stawała się coraz sympatyczniejsza.

Lot trwał około godziny i czterdziestu minut. Już przy lądowaniu było widać, że coś nie gra z jakością i przejrzystością powietrza. Początkowo, kiedy samolot schodził do lądowania, myślałem, że to chmury, potem – że jakaś burza piaskowa. Później okazało się, że z powodu pożarów lasów powietrze nad północnym Laosem jest tragiczne. To trochę zepsuło mi humor, ponieważ nie wróżyło ładnych zdjęć, a na tym mi najbardziej zależało.



Zdjęcie 49. Lotnisko międzynarodowe w Luang Prabang.





Zdjęcie 50. Mój samolot w Luang Prabang i tragicznie zanieczyszczone powietrze.

Kiedy dojechałem do hotelu, bardzo średniego – na szczęście tylko na jedną noc, następnego dnia zmieniałem go na lepszy – zostawiłem swoje rzeczy i udałem się na spacer. Pomimo słabej widoczności miasto okazało się najbardziej klimatyczne ze wszystkich, które do tej pory widziałem. Bardzo ciekawa architektura, świetna infrastruktura turystyczna, duży wybór rzeczy i innych ciekawych suvenirów, nocny market, gdzie można zarówno zjeść na wielkim placu z setkami innych turystów, jak i zrobić zakupy na targowisku. Wszystko w świetnym otoczeniu pięknej architektury. Najładniejsza część miasta położona jest pomiędzy Mekongiem a jednym z jej dopływów. Wszystko musi pięknie wyglądać w porze deszczowej, kiedy jest bardzo zielono, czyste powietrze oraz wysoki poziom wody. Do miasta poza dojazdem autobusem czy samolotem można z wielu miejsc dopłynąć statkiem – i to zarówno z Wietnamu, Kambodży, jak i Chin czy Tajlandii. Pierwsze wrażenie, ze względu na powietrze, było średnie, ale w miarę pobytu można odkryć uroki tego pięknego miasta i okolic.



Zdjęcie 51. Natura otaczająca Luang Prabang.













Zdjęcie 52–55. Piękna architektura Luang Prabang.





Zdjęcie 56. Wieczorny bazar i główna jadłodajnia w Luang Prabang.



Zdjęcie 57. Nocny market w Luang Prabang.





Zdjęcie 58. Jedna z galerii w Luang Prabang.





Zdjęcie 59. Jedna z wielu klimatycznych uliczek w Luang Prabang.



## Dzień czwarty (7.04.2023) – Luang Prabang, wyjazd skuterem do Parku Zielona Dżungla

Rano musiałem zmienić hotel, co mnie cieszyło, bo ten mi się nie podobał. Nowy hotel, prowadzony chyba przez Amerykanina, był bardzo czysty i komfortowy, może nie tak jak w Kambodży, ale 193 PLN za trzy doby w świetnym hotelu to naprawdę jak za darmo.



Zdjęcie 60. Mój świetny hotel.

Po chwili odpoczynku poszedłem rozejrzeć się po mieście z zamiarem wynajmu skutera na kilka godzin i zaplanowania czegoś na kolejne dwa dni. Praktycznie kilkaset metrów od mojego hotelu wszedłem do jednej z wielu agencji turystycznych, ponieważ zainteresowała mnie ich oferta wystawiona za zewnątrz. Po kilku minutach rozmowy miałem już wykupioną całodzienną wycieczkę z wędrowką po górach i przy wodospadach oraz wynajęty skuter. Niestety, ponieważ byłem jedynym chętnym, musiałem zapłacić 100 USD, ale to są koszty nauki i poznawania, jak działa tu biznes turystyczny. Jeżeli zechcę kiedyś korzystać z ich usług, to najpierw muszę ich sprawdzić. Przy wynajmie skutera musiałem podpisać umowę i oddać w zastaw paszport, ale się nie zgodziłem i ksero tym razem wystarczyło. Problem polega na tym, że skutery w żaden sposób nie są ubezpieczone i paszport jest gwarantem, że klient odda za motocykl lub szkody.





Zdjęcie 61. Autor w trakcie opisywania swoich przygód i doświadczeń.

Właściciel zasugerował, że mając kilka godzin, mogę pojechać do Parku Zielona Dżungla, oddalonego o kilkanaście kilometrów. Kiedy już chwilę pojeździłem skuterkiem i zabrałem z pokoju swoje rzeczy, udałem się na przystań promową i wjechałem jak wszyscy na prom. Koszt to około 3 PLN. Krótka przeprawa i jazda drogą. Na szczęście dzień wcześniej jedna z Francuzek pokazała mi świetną aplikację na iPhone – Maps.me, dzięki której po wgraniu darmowej mapy danego państwa można po nim spokojnie jeździć, będąc offline.

Po drodze miałem okazję obserwować otaczającą mnie przyrodę, góry i wsie, a raczej to, co dało się zobaczyć przez zadymione powietrze. Nie trzeba było daleko jechać, aby zrozumieć przyczynę takiego stanu rzeczy, ponieważ wszędzie widziałem ślady pożaru lub tłące się małe ogniska wypalanych liści, krzewów czy ściętych pni. Po dojechaniu na miejsce musiałem zapłacić za parking i kupić bilet wstępu. Ze względu na porę suchą przyroda nie przedstawiała się zachęcająco. Miejscami rosły pozostałości traw, nawet wodospad był tylko z nazwy, ponieważ nie spływała z niego woda. Zainteresował mnie natomiast park linowy, położony wysoko na potężnych drzewach i biegnący na drugą stronę drogi głównej, do ciekawszej części parku. Znajdowały się tam zadbane i zielone łąki, grał zespół muzyki tradycyjnej, rosły piękne



kwiaty, a po drodze mijało się dwa słonie indyjskie, na których można było się przejechać lub je nakarmić. Oczywiście wszystko zrobiono typowo pod turystów, więc na każdym kroku stały punkty handlowe i usługowe, gdzie można było zjeść czy się napić kawy. Generalnie jest to miejsce ciekawe i godne uwagi, ale zdecydowanie w porze deszczowej lub jakiegokolwiek innej, kiedy jest zielono i czyste powietrze.



Zdjęcie 62. Autor na wynajętym skuterze.



Zdjęcie 63. Zespół w Parku Zielona Dżungla.





Zdjęcie 64–65. Park Zielona Dżungla.





Zdjęcie 66. Park linowy.





Zdjęcie 67. Słonie w Parku Zielona Dżungla.



Zdjęcie 68. Zwierzęta hodowlane w okolicznych wsiach.



Mniej więcej półtorej godziny później udałem się w drogę powrotną. Jadąc, zauważyłem, zresztą tak jak i wcześniej, że drogi są praktycznie puste. Tylko od czasu do czasu przejedzie skuter, a dużo rzadziej samochód. Droga numer 4 była dosyć nową trasą i z tego miejsca, z którego startowałem, miałem tylko 154 kilometry do Tajlandii.

Po powrocie oddałem skuter i udałem się na nocny targ na kolację, którą tym razem ponownie była rybka z grilla. Po kolacji jeszcze przeszedłem się urokliwymi uliczkami Luang Prabang.

### **Dzień piąty (8.04.2023) – Luang Prabang, wędrówka po górach i wodospad**

Kiedy szedłem wieczorem spać, miałem w planach poranne wstanie około 5.20, aby zobaczyć tzw. karmienie mnichów. Ceremonia jest powtarzana każdego poranka około godziny 5.30–6.00, kiedy to mieszkańcy Laosu wychodzą w ustalone miejsca, a mnichowie przechodzą obok nich z torbami i otrzymują jedzenie w różnych formach. Niestety nie miałem na tyle samozaparcia. Wstałem trochę później i udałem się na poszukiwanie śniadania na porannym ryneczku. Jeżeli ktoś nie może sobie wyobrazić, jak wyglądały ryneczki w przedwojennej Polsce, to tu zobaczy to w całej okazałości. Każdy przychodzi z tym, co ma, ktoś sprzedaje gotowe potrawy, ktoś warzywa, ryby, kurczaki itp. Łatwiej chyba wymienić, czego tu tutaj nie ma.











Zdjęcie 69–71. Poranny market w Luang Prabang.



Po śniadaniu zgodnie z umową o 8.30 zameldowałem się w firmie mojego nowo poznanego właściciela firmy turystycznej, gdzie czekał już mój przewodnik na ten dzień. Po chwili rozmowy wsiedliśmy do terenowej toyoty i właściciel podwiózł nas kilkanaście kilometrów do jednej ze wsi, skąd mieliśmy iść ponad dziewięć kilometrów przez wsie i lasy. Po drodze planowaliśmy odwiedzić przynajmniej dwie wsie, jedną jaskinię, a na końcu zobaczyć przepiękne wodospady, w których mógłbym popływać. Po czym właściciel ponownie miał nas odebrać i przywieźć do Luang Prabang.



Zdjęcie 72. Mój przewodnik.

Po wyjściu z samochodu od razu poczułem wspaniały i sielski klimat wsi, dokoła żadnych turystów, tylko wieś, piękna natura i mój przewodnik. Od razu telefon w ruch i robienie zdjęć najbardziej charakterystycznych domów czy zabudowań gospodarczych. Widziałem kobiety wyszywające kolorowe wzory, które następnie można sprzedać turystom w postaci małych toreb, a także trzech młodych chłopców grających w sport narodowy Francuzów – bulle – na specjalnie przygotowanym do tego torze czy wreszcie świniobicie. „Ofiarą” była czarna odmiana świni.





Zdjęcie 73–74. Wiejska zabudowa.





*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 75. Młoda kobieta z dzieckiem.





Zdjęcie 76. Szczęśliwe dzieci.





Zdjęcie 77. Młodzież grająca w bule.



Zdjęcie 78. Produkcja suvenirów dla turystów.









Zdjęcie 79–80. Wiejska zabudowa.

Po opuszczeniu wsi chłonałem już tylko piękną naturę. Chwilami widziałem płaskie pola uprawne, obecnie suche, potem – specjalnie sadzone lasy z drzew, z których pozyskiwano rodzaj kauczuku. Dalej były lasy wyglądające na nieokiełznaną dżunglę. Chodziliśmy po wąskiej drodze, po której nawet skuter nie przejedzie ze względu na to, że trzeba się wspinać po skałach. Po kilku kilometrach weszliśmy na dużą polanę, usianą skałami, na której pracowało dwóch starszków, a dokoła były bardzo wysokie wzgórza porośnięte lasami. Dla mnie coś niespotykanego, ale tutaj to norma. Mój przewodnik stwierdził, że osobiście ma swoje pola ryżowe w górach. Idzie tam półtorej godziny w jedną stronę.

Niestety na każdym kroku było widać, jak lokalna ludność wycina drzewa i wypala łąki pod uprawę. Oczywiście można mieć do tego europejski negatywny stosunek, jednak jeśli się żyje w Laosie, gdzie państwo w żaden sposób nie interesuje się obywatelem, chyba że chodzi o opłacenie podatków, to trudno mieć do ludzi pretensje, że chcą przeżyć i się jakoś wzbogacić. Mój przewodnik, który przejął gospodarstwo po rodzicach i opiekę nad nimi, opowiadał, jak jego ojciec zachorował, a on sprzedawał po kolei bawoły i ziemię, aby mieć na leczenie. W konsekwencji ojciec zmarł, a on został z dwoma hektarami i rodziną pod opieką, która składała się z matki, żony i czwórki dzieci.





Zdjęcie 81. Uprawa kaczuku.







Zdjęcie 82–84. Trasa turystyczna.





Zdjęcie 85. Karczowanie lasu.



Zdjęcie 86. Przeszkoda na szlaku turystycznym.



Życie w Laosie dzieli się na czas przed pandemią i po niej. Mój przewodnik, który używa pseudonimu Tom Cruze, opowiadał, że przed covidem chodził z turystami nawet dwadzieścia – dwadzieścia pięć razy w miesiącu, a po nim – raz lub wcale. Niektórzy ludzie potracili całe biznesy lub musieli się poprzehosić z głównych ulic na tańsze boczne, które dają mniejszą szansę na zdobycie klienta. Osobiście to odczułem, bo kiedy wykupiłem całodzienną wycieczkę, miałem opcję zapłacić 100 USD lub nie jechać wcale, ponieważ nie było więcej chętnych.

Po jakim czasie nagle pojawił się za nami samotny turysta z Francji, który poszukiwał jaskiń. Po kilku minutach, kiedy szedł z nami, cofnął się do swojego skutera. Było to dosyć zabawne, zobaczyć w środku lasu, gdzie nie ma nikogo, sympatycznego człowieka z aparatem. Po sześciu kilometrach doszliśmy do wejścia do jaskini. W czasie tzw. cichej wojny, w latach 1965–1976(?), ludność wykorzystywała jaskinie jako miejsca schronienia przed bombardowaniami amerykańskiego lotnictwa. Dopiero będąc osobiście w tych lasach, człowiek sobie uświadamia prostą prawdę, że zarówno Francuzi, jak i Amerykanie nie mieli żadnych szans, aby utrzymać Indochiny pod kontrolą.



Zdjęcie 87. Wejście do jaskini.

Po zjedzeniu lunchu wliczonego w cenę wycieczki poszedłem sam pochodzić po jaskini. Jest ona w środku bardzo surowa, ma mało pięknych form naciekowych, panuje tam za to bardzo duża wilgotność. Chodząc po jaskini, zastanawiałem się, jak ludzie sobie w niej radzili – przecież nawet ognia nie mogli rozpalić, bo by się podusili, chyba że było jakieś ujście dymu.

Po obejrzeniu jaskini szliśmy przez zupełnie naturalny las, stanowiący część rezerwatu, gdzie nie było żadnej możliwości zejść ze ścieżki z powodu bardzo dużej gęstwiny, i to pomimo pory suchej. Kiedy jest mokro, ścieżki bardzo szybko zarastają i lokalna



ludność odpowiada, za wynagrodzeniem, za ich utrzymanie. Generalnie państwo dba o to, aby lokalna ludność miała interes w rozwoju turystyki. Nawet mój operator musi część środków przekazać do wsi, przez które przechodzimy. Dodatkowo, gdy np. grupa jest większa niż osiem osób, należy wynająć drugiego przewodnika pochodzącego z mijanych wsi. Zadbano także o to, aby wyeliminować straszny afrykański zwyczaj, czyli żebrzących dzieci. Polega to na tym, że lokalne dzieci na widok turysty otaczają go i wołają „give me money”, co jest bardzo nieprzyjemne. Znam to z wyjazdu do



Zdjęcie 88. Wnętrze jaskini.

Rwandy. Takich zachowań nie ma w miejscach, gdzie turyści są rzadko. W żadnym z państw Azji Południowo-Wschodniej nie spotkałem się z wołającymi o pieniądze dziećmi.



Zdjęcie 89. Pomimo pory suchej las dalej robił ogromne wrażenie.





Zdjęcie 90. Gniazdo tarantuli, która wchodzi w skład lokalnej diety.





Zdjęcie 91. Imponujące drzewa w lesie.



W końcu zbliżaliśmy się do – według opinii mojego przewodnika – najpiękniejszego wodospadu na świecie. Z daleka słyszałem szum spadającej wody. Po jakimś czasie wodospad Kuang Xi zaczął powoli odkrywać swoje niesamowite uroki. Oglądanie zaczęliśmy nietypowo, bo od góry. Już na samym początku ujrzałem piękne rozlewiska z krystaliczną wodą i pływającymi rybami, w których kąpali się ludzie. Następnie zeszliśmy kilkadziesiąt metrów w dół, gdzie ukazał się najcudowniejszy fragment wodospadu. Pięknie ukształtowany teren powodował, że woda przybierała zarówno różne kształty, jak i kolory. Po spadku z najwyższej wysokości woda rozlewała się i spadała z mniejszych skał na przestrzeni kilkuset metrów. Woda była czysta i pływały w niej ryby różnej wielkości. Poniżej znajdował się mniejszy, ale równie urokliwy spad, pod którym wytworzył się naturalny duży basen, w którym miałem okazję popływać. Głębokość wody wynosi maksymalnie 170 centymetrów. Jest ona bardzo zimna, co stanowiło świetną odmianę po dwutygodniowych upałach. Wokół znajdowało się mnóstwo ludzi, ale niewielu z nich się kąpało, więc nie było tłoku. Wspaniałe doświadczenie i oczywiście zdjęcia. Schodząc na parking, mijaliśmy małe i piękne spadki wody. Nie wiem, czy ten wodospad jest najpiękniejszy na świecie, ale na pewno najładniejszy, jaki ja widziałem w życiu. Dodatkowo bezcenna jest możliwość pływania w tej wodzie, gdzie nogi skubią nam małe rybki zjadające martwe komórki skóry.























*foto: Aneta Danielewicz*





Zdjęcie 92–101. Wodospad Kuang Xi.

Schodząc na parking, kolejny raz spotkałem moje trzy sympatyczne Francuzki – chyba już piąty raz od wspólnego wyjazdu w Pakse. Za każdym razem wywoływało to u nas dużą radość i uśmiech na twarzy. Po dojściu do dużego parkingu pełnego handlarzy zjechaliśmy samochodem elektrycznym do głównego parkingu, gdzie czekał już na mnie nasz właściciel firmy, w której kupiłem wycieczkę. Drogę powrotną przeznaczaliśmy na snucie planów biznesowych na przyszłość. Po drodze mijaliśmy zielone pola ryżu, co jest rzadkością o tej porze roku, oraz dużą farmę bawołów, gdzie można było zjeść lody z ich mleka i zrobić wycieczkę z przewodnikiem po farmie.

Po powrocie szybki prysznic i wyjście na nocny bazar na kolację. Tym razem trafiło na pyszną kaczkę z ryżem za całe 2,5 USD. Po kolacji ze względu na to, że po raz pierwszy powietrze był przejrzyste, obszedłem najładniejsze dzielnice, aby porobić zdjęcia kamienic.





Zdjęcie 102. Niedźwiedź w parku przy wodospadzie Kuang Xi.





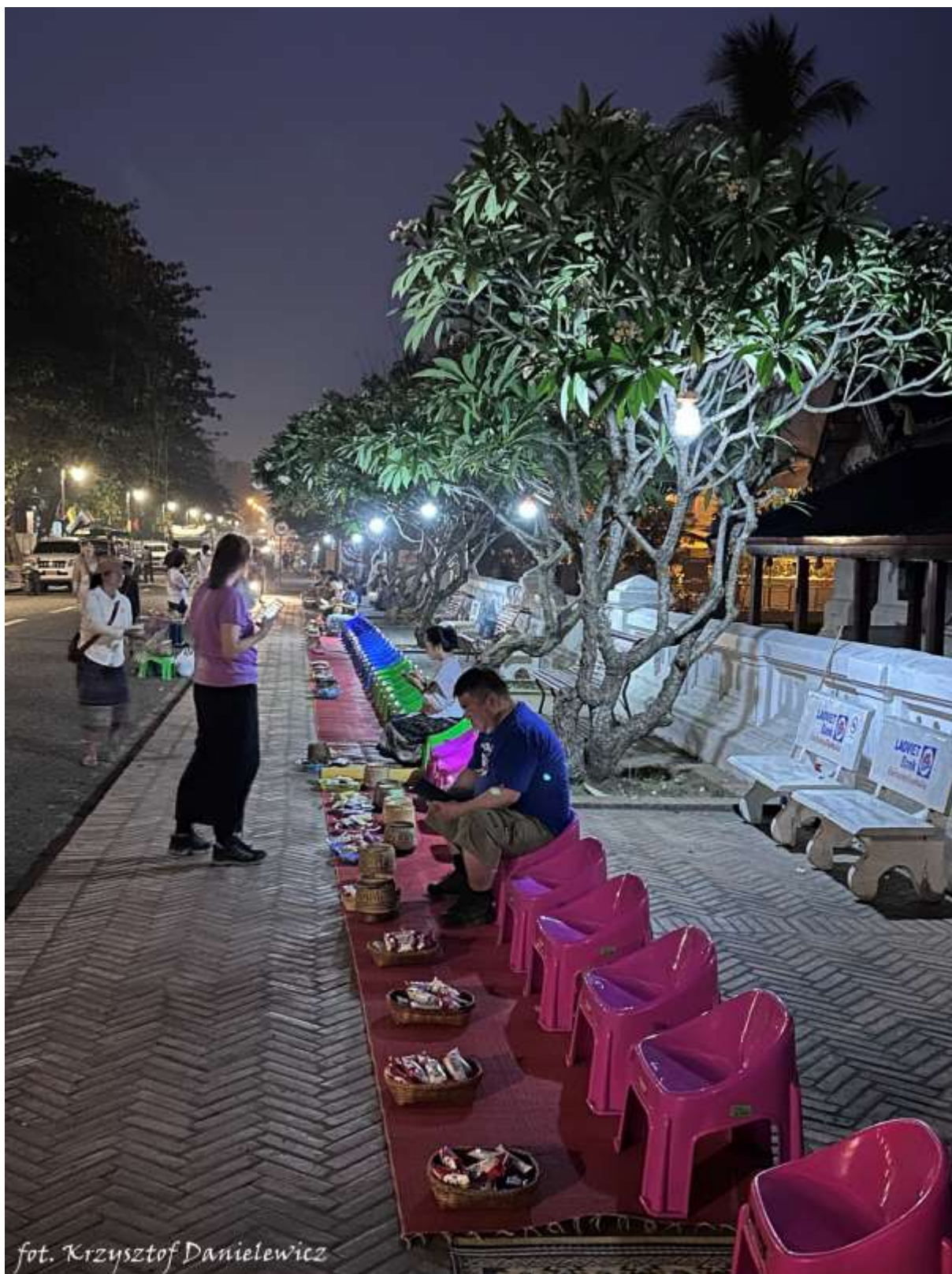
Zdjęcie 103. Rzadki o tej porze widok zielonych pól ryżowych.

### **Dzień szósty (9.04.2023) – Luang Prabang, wyjazd skuterem za miasto**

Rano udało mi się wstać o 5.15 i wybrać się na tzw. karmienie mnichów. Odbywa się to w kilku miejscach, ja najbliżej miałem na ulicy, gdzie co wieczór trwa nocny market. Miałem okazję obserwować przygotowania do ceremonii. Na długości około 100 metrów rozstawiono małe plastikowe krzeselka, na których siadały osoby z jedzeniem dla mnichów. Były to batony, ryż, przyprawy i inne produkty, przechowywane w specjalnych plecionych koszykach. Niektórzy z tzw. karmicieli to biali turyści, którzy mieli przewiązane przez plecy charakterystyczne chusty, inni – Azjaci, np. kobiety ubrane w piękne tradycyjne stroje. Dokoła znajdowało się już dosyć dużo turystów, którzy podobnie jak ja czekali na dobre ujęcia fotograficzne. Chwilę po 5.30 z położonej przy ulicy świątyni zaczęły wychodzić grupy mnichów w różnym wieku, z dużymi pojemnikami na dary. Przechodzili oni na całej długości obok siedzących ludzi, którzy w plastikowych rękawiczkach wrzucali im do pojemników to, co przynieśli. Na końcu rzędu darczyńców siedziały osoby bardzo biedne, głównie dzieci, które z kolei otrzymywały część darów od samych mnichów. Ze względu na wielu fotografów wyglądało to trochę bardziej jako ciekawostka turystyczna niż tradycyjna ceremonia. Tak czy inaczej warto to



zobaczyć i uwiecznić. Wracając na dalsze spanie do hotelu, porobiłem jeszcze kilka zdjęć porannego marketu, który rozbija się bezpośrednio przy moim hotelu. Zakupiłem sobie także przy okazji śniadanie.



*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 104. Przygotowania do ceremonii karmienia mnichów.





*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 105. Ceremonia karmienia mnichów.





*fol. Krzysztof Danielewicz*  
Zdjęcie 106. Część darów jest oddawana biednym.





Zdjęcie 107. Osoby karmiące mnichów są często ubrane w tradycyjne stroje.







Zdjęcie 108–109. Ceremonia karmienia mnichów.





*foto Krzysztof Daniślewicz*  
Zdjęcie 110. Pięknie ubrana kobieta karmiąca mnichów.



Około 11.00 po spisaniu doświadczeń z poprzedniego dnia udałem się do firmy Galaxy porozmawiać z Didem, kupić bilet na pociąg oraz wynająć skuter na kilka godzin. Dida nie było, więc uregulowałem należność za pociąg do Wientianu i wynająłem skuter. Tym razem nikt już nie chciał ode mnie paszportu za skuter, nawet jedyny egzemplarz umowy był tylko u mnie w kieszeni. Zaufanie buduje się z czasem. Zgodnie z wytycznymi żony Dida wybrałem się w kierunku schroniska słońi. Po drodze pomyliłem kierunki, ale w sumie dobrze się stało, bo zauważyłem znak, że za siedem kilometrów będzie jakaś zagroda ze słońiami. Po drodze mijaliśmy świątynie, duże firmy i projekty chińskie oraz nowo wybudowaną linię kolejową.







Zdjęcie 111–113. Mijane po drodze świątynie buddyjskie.

Żeby dojechać do słoń, musiałem odbić w drogę gruntową, co mi bardzo przypominało czasy szkolne, kiedy musiałem komarkiem, a później rometem dojeżdżać do szkoły polnymi drogami. To doświadczenie przydało mi się zresztą na bezdrożach rwandyjskich. Na miejscu znajdował się ogrodzony teren, dobrze zadbany i żeby wejść, musiałem zapłacić 10 USD. W cenie otrzymałem banany, którymi mogłem nakarmić słońce, oraz do wyboru kawę i herbatę. Menedżer, z którym później rozmawiałem, mówił, że mają pięć słoń, ja natomiast widziałem trzy. Słonie były bardzo spokojne i w dobrej kondycji. Dawały się głaskać, a ich obecność nie powodowała żadnego strachu, tylko szacunek i podziw dla tych nadzwyczaj inteligentnych zwierząt.













Zdjęcie 114–117. Słonie w zagrodzie.

Po karmieniu słoni i zrobieniu wielu zdjęć udałem się do ładnej restauracji na terenie ośrodka, noszącego zresztą nazwę Wioska Słoni. Po zjedzeniu obiadu zauważyłem, że słonie schodzą do znajdującej się opodal rzeki, a za nimi idzie kilku turystów. Kiedy słonie były już w wodzie, dwóch mężczyzn i jedna kobieta zaczęli wchodzić do wody, aby się kąpać i myć słonie. Kiedy chciałem zrobić to samo, przewodnik powiedział, że ci ludzie zapłacili za to 29 USD. Widok kąpiących się słoni a z nimi ludzi był naprawdę bardzo przyjemny. Słonie wyglądały na zrelaksowane, nikt poza opiekunami na nich nie jeździł. Po kąpieli słonie przekroczyły rzekę i udały się do swojej docelowej zagrody na noc. W miejscu Wioski Słoni przebywają jako atrakcja pomiędzy 9.00 a 15.00.





Zdjęcie 118. Widok na rzekę z basenu restauracyjnego.





Zdjęcie 119. Słonie kierujące się do rzeki.





Zdjęcie 120. Słonie w trakcie kąpieli.



Zdjęcie 121. Widok na drugą stronę rzeki.





Zdjęcie 122. Widoki w trakcie drogi powrotnej.

Wracając, pojeździłem jeszcze po okolicy, zrobiłem kilka zdjęć drobiu i czarnych świnek w klatkach na sprzedaż, oglądałem też ręcznie robione noże w drewnianych sakwach, podobne do tego, jaki zakupiłem w Wietnamie. Zanim oddałem skuter, pojeździłem jeszcze po mieście, aby porobić kilka ciekawych zdjęć budynków i ulic. Powietrze od dwóch dni było dużo lepsze, więc chciałem wykorzystać okazję. Po kolacji na nocnym targu pochodziłem trochę po targowisku. Zauważyłem, że każdego dnia zauważam tu zupełnie inne rzeczy. Tym razem wypatrzyłem, że kobieta sprzedaje w ładnie zapakowanych butelkach dwa rodzaje alkoholu: jeden przejrzysty drugi ciemny. Dodatkowo można go degustować, co swoim zwyczajem oczywiście wykorzystałem, ostatecznie zakupując ten przejrzysty o mocy 50%.





















*fol. Krzysztof Danielewicz*









Zdjęcie 123–134. Piękny Luang Prabang.



## Dzień siódmy (10.04.2023) – podróż koleją chińsko-laoską do Wientianu

Zgodnie z planem rano zapłaciłem za hotel – całe 45 USD za trzy noce w bardzo przyzwoitych warunkach i przy profesjonalnej obsłudze właściciela. Zjadłem szybkie śniadanie w sąsiednim barze i wypilem kawkę kupioną od właściciela hotelu, który przy okazji prowadzenia hotelu sprzedawał też kawę. W jego przypadku było to bardzo proste, ponieważ hotel znajdował się przy porannym markecie, więc nawet nie musiał wychodzić na ulicę, aby sprzedawać.

O 10.00 punktualnie byłem u Dida w Galaxy, skąd miano mnie zabrać na dworzec kolejowy linii chińsko-laoskiej. Gdy tylko przybyłem, pojawił się także sprzedawca jednego ze sklepów, z którym wieczorem dogadałem się, że dostarczy mi do Galaxy flagę Laosu za ustaloną cenę. Zawsze, gdy jestem w nowym kraju, obowiązkowo kupuję magnesik, flagę i jeden suvenir, który najbardziej mi przypomina dany kraj. W przypadku Laosu był to pojemnik do przechowywania ryżu, wykorzystywany w ceremonii karmienia mnichów.



Zdjęcie 135. Nowoczesny dworzec kolejowy kilka kilometrów poza Luang Prabang.

Oczywiście, po drodze taxi musiało zabrać jeszcze kilku podróżnych, co przy opóźnieniach powodowało u mnie irytację; taki mam charakter. Na dodatek Did powiedział, że bilet już jest



kupiony dla mnie i jego matka mi go przekaże. Miała czekać przy bankomacie ATM a ja miałem zadzwonić. Ja na to, że nie mam laoskiej karty i proszę, aby kierowca to załatwił. Kiedy około 11.00 dojechaliśmy na ogromny dworzec kolejowy, wybudowany przez Chińczyków, gdy tylko wysiadłem z samochodu, starsza kobieta mnie odnalazła i dała bilet. Zabawne było to, że początkowo otrzymałem bilet czarnoskórego mężczyzny, co wiedziałem, bo każdy dawał ksero paszportu do zakupu biletu. Pani bardzo się zdziwiła, ale w końcu dała mi mój bilet.

Dworzec kolejowy i system chiński wprowadzony w Laosie to zupełnie inna bajka niż w Polsce. Nie da się tak jak u nas wbiec na peron w ostatniej sekundzie, wskoczyć do pociągu bez biletu i kupić go u konduktora. Tutaj system wygląda podobnie jak na lotnisku. Aby wejść do samego budynku dworca, trzeba mieć bilet, który kupuje się online lub na innym piętrze dworca.



Zdjęcie 136. Wnętrze dworca.

Wchodząc do budynku, musimy pozbyć się wszelkich materiałów niebezpiecznych, jak broń, noże, spreje (zabrano mi jeden) czy inne materiały łatwopalne. Gorzej niż na lotnisku, bo tam można mieć nóż w bagażu głównym. Wszystkie bagaże są prześwietlane. Po wejściu na hol główny czekamy na tzw. check-in jak na lotnisku, który zaczyna się około dwadzieścia minut



przed wjazdem pociągu. Na komendę ludzie ustawiają się karnie w kilku rzędach i po otwarciu specjalnych bramek mogą wejść na peron. Na peronie każdy staje znowu w szeregu za linią oznaczającą numer wagonu, który jest napisany na bilecie. Po wjeździe pociągu, kiedy się już zatrzyma, obsługa podaje sygnał, że można wchodzić do wagonu. W moim przypadku był to wagon numer 4, miejsce 9F, oznaczenia bardzo podobne do tych z samolotu. Zarówno na dworcu, jak i w pociągu jest bardzo dużo obsługi, w różnych strojach, co wskazywało zakres obowiązków. Pracują: kierownik pociągu, kontrolerzy, osoby porządkowe czy inspektorzy bezpieczeństwa. Wszystko tak, aby w sposób szybki, sprawny i bezpieczny załadować ludzi do pociągu i dostarczyć na miejsce docelowe, gdzie przy wyjściu z perony ponownie skanowane są bilety.



Zdjęcie 137. Moment wyjścia na perony.

Sam pociąg był bardzo komfortowy, czysty i szybki, jechał ze średnią prędkością około 158 kilometrów na godzinę. Bilety sprawdzano tylko raz. Osobiście byłem przygotowany na obserwowanie widoków, ale okazało się, że większość trasy, ze względu na ukształtowanie terenu, przebiegała w tunelach, co musiało dużo kosztować. Po drodze był tylko jeden przystanek w Vang Vieng, które to miasto jest podobno jeszcze ładniejsze od Luang Prabang.





*foto. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 138. Nowoczesny pociąg linii chińsko-laoskiej.



*foto. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 139. Autor we wnętrzu pociągu.





Zdjęcie 140. Kontrola biletów.

Kiedy w końcu dojechalśmy do Wientianu i wyszliśmy z pociągu, ponownie trzeba było przejść przez bramki i osoba funkcyjna czytała kod kreskowy z biletu. Jak zobaczyłem te masy



ludzi, pomyślałem sobie: jak oni wszyscy zostaną rozwiezieni do swoim miejsc docelowych, to będzie trwało godziny.

Zanim zdołałem pomyśleć, zostałem zaproszony do tuk tuka, wspólnie z dziewięcioma innymi osobami, i zabrany w długą trasę do miasta. Widać ewidentnie, że Chińczycy, budując trasę, nie dbali, aby przebiegała ona przez centrum miast i z reguły przystanki są oddalone. Co powoduje, że należy się tam jakoś dostać.



Zdjęcie 141. Dworzec w Wientianie, stolicy Laosu.



Zdjęcie 142. Dziesiątki tuk tuków oczekujących na podróżnych.





*fot. Krzysztof Danielewicz*  
Zdjęcie 143. Tuk tuk czekający na pełne załadowanie.



*fot. Krzysztof Danielewicz*  
Zdjęcie 144. Mój bardzo przyjemny hotel w Wientianie.



Hotel okazał się bardzo sympatyczny i profesjonalny, a co najważniejsze – z basenem, chociaż na zdjęciu wydawał się większy. Po odrobinie odpoczynku i obiedzie pojechałem tuk tukiem na nocny market, który znajduje się przy rzece Mekong. Widać ewidentnie, że wieczorem nocny targ i promenada nad Mekongiem są głównymi miejscami aktywności, i to zarówno Lautañczyków, jak i obcokrajowców, których w tym rejonie było wyraźnie widać. W Wientianie spotkałem też pierwszych w Laosie Polaków, grupę około siedmiu – ośmiu osób. Po spacerze wróciłem pieszo do hotelu i popływałem w basenie oraz popróbowałem laoskiej whisky.



Zdjęcie 145. Profesjonalna obsługa i recepcja hotelu.

Miasto nie przypadło mi do gustu, po dwóch tygodniach podróży mam trochę dość dużych miast, w których nie ma co oglądać, wszystko jest daleko i trzeba co chwilę płacić za transport. W związku z powyższym zdecydowałem, że na jedną noc pojadę do sławnego Vangvieng.





Zdjęcie 146. Basen hotelowy.



Zdjęcie 147. Nowy rodzaj spotkanego tuk tuka.





Zdjęcie 148–149. Wientian – rejon nocnego targu nad Mekongiem.





Zdjęcie 150. Pomnik Chao Anouvong.



Zdjęcie 151. Nocny market w Wientianie.



## Dzień ósmy (11.04.2023) – wyjazd do Vangvieng

W związku ze zmęczeniem dużymi miastami i małą atrakcyjnością Wientianu postanowiłem wyskoczyć na jedną noc do Vangvieng, o którym słyszałem dużo dobrego, m.in. od moich zaprzyjaźnionych Francuzek i od Dida z Luang Prabang. Do miasta pojechałem busem w bardzo atrakcyjnej cenie, a dodatkowo odbierał mnie bezpośrednio z hotelu. Za pociąg chińsko-laoski musiałbym zapłacić około 200 tys. LAK, plus taxi na dworzec w Wientian 350 tys. LAK i jeszcze transport z dworca w Vangvieng. Natomiast za busa zapłaciłem 150 tys. LAK i wylądowałem w centrum Vangvieng.

Bardzo szybko po opuszczeniu Wientianu okazało się, że była to świetna decyzja, ponieważ krótko po opuszczeniu centrum wjechaliśmy na płatną autostradę chińsko-laoską, gdzie mój kierowca pędził z prędkością 160 kilometrów na godzinę, przy dozwolonym limicie 100. Droga była nowa i praktycznie pusta, co kilka minut mijaliśmy jakiś pojedynczy samochód. Na autostradę zakaz wjazdu mają rowery, motocykle i tuk tuki. Po drodze mogłem podziwiać piękne laoskie tereny. Za cały przejazd zapłaciliśmy niecałe 200 tys. LAK.



Zdjęcie 152. Wjazd na autostradę chińsko-laoską.



Po około półtorej godziny dojechaliśmy do głównej ulicy w Vangvieng, gdzie dalej każdy z pasażerów musiał radzić sobie sam. Jako doświadczony już podróżnik szybko odnalazłem hotel. Po pozostawieniu swoich rzeczy w pokoju hotelowym Hindus, który akurat pracował w recepcji, polecił mi dzisiaj spływ kajakowy, a jutro wynajem skutera, chociaż plan miałem dokładnie odwrotny. Tak się składało, że były dwie dziewczyny chętne na spływ i za czterdzieści minut mogłem pojechać, co mi akurat pasowało.

Praktycznie już opuszczając busa i idąc do hotelu, zauważyłem ogromną liczbę reklam z ofertą turystyczną, dotyczącą głównie aktywnych form spędzania czasu: lot balonem, zipline, kajaki, rowery, skutery, wędrówka po górach, zwiedzane jaskiń czy pokonywanie jaskiń na dmuchanych oponach po linie. Oferty się powtarzały, nawet jeżeli wyglądały graficznie inaczej. Miejscowość ta z całą pewnością stanowi świetne miejsce wypadowe dla mieszkańców stolicy Laosu, chociażby ze względu na linię kolejową czy autostradę. Odległość około 130 kilometrów pokonuje się maksymalnie w półtorej godziny. Tak jak wcześniej, widziałem tu bardzo dużo młodych ludzi z całego świata

Rzeczywiście, kiedy zostaliśmy przetransportowani na miejsce spływu kajakowego. Samochód wywiózł nas za miasto, gdzie w pewnym momencie skręciliśmy w kierunku rzeki. Na miejscu nasz przewodnik zdjął kajaki, rozdał kamizelki i wiosła i rozpoczęła się przyjemna półtoragodzina przygoda.











Zdjęcie 153–156. Widoki w trakcie spływu kajakowego w Vangvieng.

Poza pięknymi widokami gór z prawej strony i zbliżającym się zachodem słońca mieliśmy okazję podziwiać, jak mieszkańcy Laosu i turyści korzystają z możliwości oferowanych przez płytką i bezpieczną rzekę. Niektóre restauracje czy kluby znajdowały się obok rzeki, a niektóre wręcz na niej. Goście, jedząc czy pijąc piwo, siedzieli po pas w ciepłej i czystej wodzie. W rzece pływały dzieci, ludzie pływali na oponach i kajakach, a niektórzy czegoś szukali, jakby jakichś skorupiaków. Co jakiś czas dobiegała muzyka, ludzie machali i pozdrawiali i to wszystko w pięknych okolicznościach przyrody. Po powrocie pozostało tradycyjnie zjedzenie kolacji i wieczorny spacer po uliczkach.



Zdjęcie 157. Radosna młodzież laoska.









Zdjęcie 158–160. Widoki w trakcie spływu kajakowego w Vangvieng.







Zdjęcie 161–162. Ulice Vangvieng.

### **Dzień dziewiąty (12.04.2023) – wyjazd skuterem w rejon Vangvieng i powrót do Wientianu**

Rano, zgodnie z planem, około godziny 8.00 byłem już po śniadaniu i miałem w ręku skuter. Tym razem jednak konieczne okazało się oddanie paszportu za skuter, czego bardzo nie lubię, za to nie musiałem podpisywać żadnej umowy itp. Wiedziałem mniej więcej, gdzie mam jechać, a czasu miałem na tyle, aby wejść na jeden z kilku punktów widokowych i wykąpać się w jednej z kilku błękitnych lagun, które można było znaleźć po drodze.

Pomimo że nawigacja prowadziła mnie do punktu widokowego – na reklamach pokazywanego z motocyklem na szczycie, na którym można usiąść – ja się trochę rozpędziłem i wszedłem na inny, na którym na szczycie był świeżo wykonany biały koń. Z mojego punktu widokowego



miałem wgląd na jeszcze inny, na którym z kolei znajdował się zamocowany na stałe samolot, awionetka. Laotańczycy robią po prostu wszystko, aby to na ich górę wszedł turysta, i oczywiście za to zapłacił – u mnie to było około 20 tys. LAK. Górę wybrałem przypadkowo i musiałem włożyć w to naprawdę dużo wysiłku, tym bardziej że wspinałem się koło południa, gdy panowała temperatura minimum 33–34°C. Sam już wyjazd na wieś, skuterkiem, gdzie był bardzo ograniczony ruch, stanowił dużą przyjemność. Oczywiście wejście na punkt widokowy, poza dużym i zdrowym wysiłkiem, opłaciło mi się ze względu na możliwość zrobienia ciekawych zdjęć. Ich jakość jest mocna ograniczona z powodu wyjątkowo złej przejrzystości powietrza. W Laosie poza skuterkami można wynająć samochody typu wszędołazy dwu i czteroosobowe (1 mln lub 1,4 mln LAK) za cały dzień. Mój nowo poznany menedżer z hotelu, Hindus Huamnd, miał rację, że wszystko było świetnie opisane, ale też bardzo przydała mi się aplikacja Maps.me. Rejon, w którym jeździłem, znany jest nie tylko z punktów widokowych, rzeki czy lagun, ale także z jaskiń, a wszystko jest opisane zarówno na mapach, jak i znakach drogowych.



Zdjęcie 163. Woły spacerujące bez żadnego nadzoru.





Zdjęcie 164. Góra z białym koniem, na którą się wspinałem.



Zdjęcie 165. Widok z trasy na górę.





Zdjęcie 166. Widoki ze wspinaczki.



Zdjęcie 167. Widok ze szczytu.





*foto. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 168. Pracownicy wykańczający białego konia.





Zdjęcie 169. Piękny widok ze szczytu, pomimo słabej widoczności.

Po zaliczeniu punktu widokowego pojechałem na położoną najbliżej błękitną lagunę. Reklamy wskazywały ją jako miejsce, gdzie można popływać, poskakać do wody z dużych wysokości czy pojeździć na liniach typu Zipline. Na miejscu znalazłem duży parking, gdzie otrzymałem potwierdzenie pozostawienia skutera w postaci numerka. Miejsce oceniam jako typowo komercyjne. Piękna i czysta woda, w której pływały duże ryby i kąpali się ludzie. Są dwie restauracje, gdzie można dobrze zjeść, więc po ochłodzeniu się w wodzie, co było wyjątkowo przyjemne, poszedłem na obiad. Zjadłem dużą rybkę z warzywami i makaronem, popijaną laoskim piwem. Ze względu na to, że o 14.00 miałem mieć transport do Wientian, musiałem niestety już jechać. Spotkałem mnóstwo ludzi z całego świata, ja porozmawiałem chwilę z dwoma młodymi ludźmi z Francji i Norwegii. Myślę, że najwięcej było Lautańczyków i Chińczyków. Widziałem też co jakiś czas ludzi zjeżdżających na Zipline, co wywoływało u nich duże emocje werbalne. Chociaż w Vangvieng spędziłem tylko jedną dobę, to wiem na pewno, że należy tu wrócić, ponieważ miejsce ma ogromny potencjał, szczególnie dla osób aktywnych fizycznie, lubiących wieś i naturę, szczególnie wodę.





*foto. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 170. Piękna i klimatyczna laguna.



*foto. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 171. Smaczna i świeża rybka.





Zdjęcie 172. Wszędolaz dwuosobowy.



Zdjęcie 173. Wszędolaz czteroosobowy.





Zdjęcie 174. Dostawa świeżych kokosów.

Chwilę przed powrotem zająłem jeszcze na targ, który znajdował się na parking, a tam znalazłem istne cuda. Poza typowymi owocami, miodem itp. były pieczone nietoperze, plastry miodu z larwami owadów w środku czy wielkie i tłuste larwy, wyciągane, o ile pamiętam z TV, z bambusów, a także bimber własnej roboty. Oczywiście musiałem czegoś nowego spróbować, więc ugryzłem kawałek plastra miodu z larwami w środku, ale mi nie smakował. Ostatecznie skusiłem się na tłuste larwy z bambusa z grilla. Smak był neutralny, niedający się do niczego naszego porównać, a w środku znajdowała się biała treściwa masa. Zjadłem tylko jednego, ale po chwili podeszła starsza pani z dwoma kolegami, więc oddałem jej to, co zostało. Pani była odważna i spróbowała, panowie nie mieli tyle samozaparcia. Jeden powiedział, że rok temu próbował nogę dużego pająka i już nie ma ochoty na więcej.

Wracając, miałem wrażenie, że niepotrzebnie pojechałem na trzy dni do stolicy, gdzie jest typowe miejskie życie. Vangvieng oferuje naprawdę dużo, a przede wszystkim wolność poruszania się samodzielnie różnymi środkami transportu przy gwarancji pięknych widoków i obcowania ze zwykłymi i bardzo sympatycznymi ludźmi. Oczywiście pogoda nie była najlepsza, ale myślę, że krótko po porze deszczowej musi tutaj być cudownie.





*fot. Przemysław Daniłowicz*

Zdjęcie 175. Pieczony nietoperz.





*fot. Krzysztof Danielewicz*  
Zdjęcie 176. Pieczone larwy.



O 14.00 udałem się busem ponownie do Wientianu, gdzie po krótkim odpoczynku pochodziłem jeszcze po promenadzie nad Mekongiem i okolicznych uliczkach. W ciągu dnia miejsca, które nie wydają się ciekawe, wieczorem są pełne ludzi, muzyki, targów czy restauracji. W Laosie życie trwa od 6 do około 10.00 rano i ponownie po zmroku od około 18.00. Garaże czy punkty handlowe zamieniają się w miejsca spotkań z przyjaciółmi czy rodziną. Czasami ktoś wypełni



basen z wodą, gdzie bawią się dzieci, by spryskać wodą kogoś dla zabawy. Ciekawe jest też to, że na wsi życie wygląda jak u nas w latach osiemdziesiątych czy pięćdziesiątych, tj. dzieci same chodzą lub jeżdżą skuterami do szkoły, mając zaledwie siedem czy osiem lat. Kapią się w rzecze bez nadzoru dorosłych czy skaczą z kilku metrów z mostu do wody. Wspaniale się rozwijają i mają cudowne i pełne przygód dzieciństwo, uczą się też w ten sposób odpowiedzialności.















*fot. Krzysztof Danielewicz*





Zdjęcie 177–185. Wientian.



Chodząc ulicami Wientianu, myślałem sobie: jaki to wolny kraj, nie widać policji, można wszystko, jeździć skuterem w kasku i bez kasku, pić piwo z przyjaciółmi na chodniku czy idąc po mieście. Ma się poczucie prawdziwej wolności. Podobne odczucia miałem nie tylko w Laosie, ale także w Tajlandii, Kambodży czy Wietnamie. Tutaj państwo mało zabiera i prawie nic nie daje. W Polsce łupi obywatela na każdym kroku, dając niewiele w zamian...

### **Dzień dziesiąty (13.04.2023) – przelot do Bangkoku i święto Songkran**

Jak mówi stare polskie przysłowie, wszystko, co dobre, szybko się kończy. W południe udałem się na lotnisko w Wientianie i poleciałem do Bangkoku, skąd następnego dnia w nocy miałem lot powrotny do domu, przez Dubaj.

Na lotnisku zarówno w Wientianie, jaki i w Bangkoku wszystko poszło szybko i sprawnie. W Tajlandii z automatu dostałem darmową wizę na miesiąc. Hotel miałem te sam co trzy tygodnie wcześniej, ponieważ znajdował się w świetnej lokalizacji i oferował całą gamę rozrywek. Jedyny minus to jego rozmiar – posiada cztery wieże i poruszanie się pomiędzy wszystkimi piętrami i wieżami sprawia wielu gościom problemy.

Dzień wcześniej ustaliłem, że 13 kwietnia zaczyna się w Tajlandii tradycyjny tajski Nowy Rok, który trwa trzy dni. Jest to święto oczyszczenia, które Tajowie spędzają wspólnie z rodziną i przyjaciółmi. Najbardziej rozpoznawalnymi jego przejawami jest smarowanie twarzy kredą i pryskanie się wodą, coś jak nasz śmigus-dyngus.

Tyle wiedziałem z internetu, ale to, co zobaczyłem na żywo, to była prawdziwa jazda bez trzymanki, najlepsza impreza, jaką w życiu widziałem. Kiedy tylko wyszedłem z hotelu, zauważyłem, że ludzie mają plastikowe pistolety na wodę. Niedaleko hotelu utworzył się punkt pryskania wodą, gdzie grupa ludzi z dziećmi miała napełniony wodą basen oraz wąż i przy akompaniamencie muzyki pryskała wszystkich dokoła. Mnie także się dostało. Najfajniejsze było to, że po mieście krążyły tuk tuki pełne młodych ludzi ubranych w kolorowe koszule, którzy podjeżdżali pod takie właśnie „punkty oporu” i „ostrzeliwali się” wodą. Całe miasto „uzbroiło się” w plastikowe karabiny na wodę. Nikt się nie obrażał, ale też ludzie wyczuwali, na ile mogą sobie pozwolić. Po hotelu kręciły się grupki odpowiednio ubranych i uzbrojonych gości hotelowych, którzy dobrze wiedzieli, co się święci. Telefony i dokumenty oraz pieniądze każdy miał pochowane w plastikowych etui na telefon. Ja poza kasą i telefonem nie brałem dosłownie nic, przy czym kasę miałem w małej reklamówce w kieszeni.













*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 186–189. Święto Songkran w Bangkoku.



Po jakimś czasie prowadzenia obserwacji zachowań w rejonie hotelu udałem się pieszo w rejon ulicy Khorosan, gdzie spodziewałem się kulminacji obchodów święta. Wybrałem boczną drogę, aby od razu nie być mokrym. Po drodze mijałem kilka „punktów ogniowych”, gdzie wspólnie z rodzicami bawiły się kilkuletnie dzieci. Zauważyłem, że w tych krajach, jak Tajlandia, Wietnam, Kambodża i Laos, nie ma życia dorosłych i dzieci. Dzieci są cały czas wspólnie z rodziną i uczą się zachowań z obserwacji. Są kochane i jednocześnie nie są ograniczane, nikt nie chucha i nie dmucha na nie. Są tak wychowywane jak my w Polsce w latach osiemdziesiątych.

Im bliżej byłem Khorosan, tym tłum gęstniał. Dziesiątki tysięcy ludzi szły w kierunku centralnych miejsc, najbardziej znanych turystycznie. Już po drodze stały samochody z nagłośnieniem i wszyscy się bawili. Oczywiście po jakimś czasie nikt już nie był suchy. W pewnym momencie wszedłem w taki tłum, że nawet palca nie można było przecisnąć. Z doświadczenia wiem, że nie są to najbezpieczniejsze miejsca, szczególnie jeżeli wybuchnie panika. Wybrałem więc trochę luźniejsze przejścia. Jak większość, szedłem z ludźmi, nie do końca wiedząc, gdzie zmierzam. W końcu i tak trafiłem na jedną z centralnych ulic, gdzie tysiące młodych ludzi śpiewały, tańczyły, piły piwo i inne rzeczy, polewały się wodą i smarowały kredą. Część ludzi zrobiła coś w rodzaju korytarza i polewała tych idących środkiem ulicy – czegoś takiego w życiu nie widziałem. Wszyscy robili sobie zdjęcia i uśmiechali się, nigdy w życiu nie doświadczyłem tyle dobrej energii co tutaj.

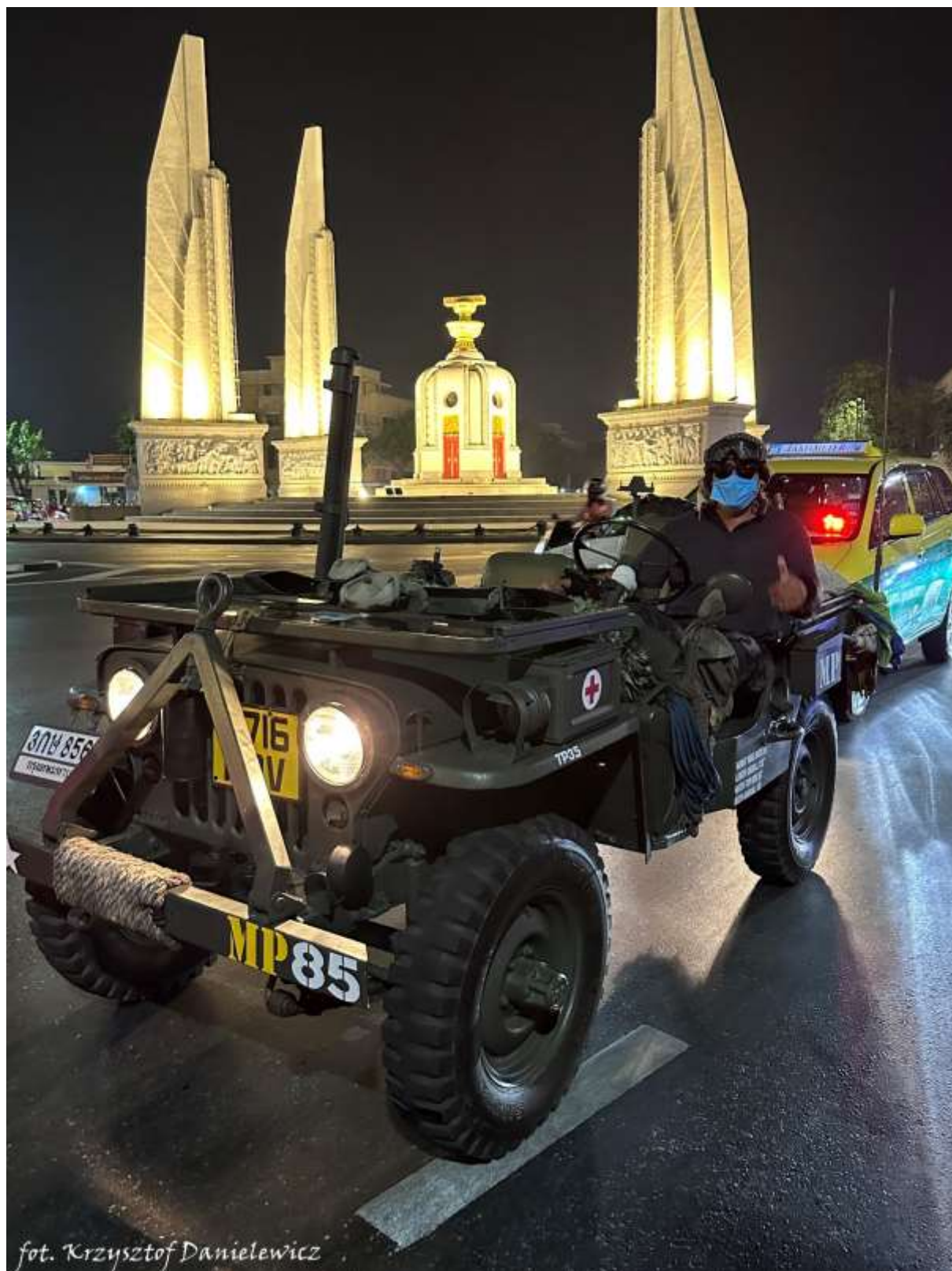
Służby robiły, co mogły, aby zapewnić bezpieczeństwo, policja starała się regulować dostęp do najbardziej tłocznych ulic, co chwilę było widać ratowników udzielających komuś pomocy lub biegnących to zrobić. Większość barów pozamykano, ponieważ w przeciwnym razie mogło się skończyć koniecznością zrobienia generalnego remontu. W pewnym momencie na ulicy zrobiła się prawdziwe błoto od wody i białego proszku – szkoda, że nie mogę zobaczyć tej ulicy rano przed sprzątnięciem. Część młodych ludzi stawała na prowizorycznych scenach, gdzie tańczyła i zagrzewała do tańca innych. Wspaniale w to wszystko wmieszali się turyści z całego świata. Tajlandia to raj dla każdego turysty pod każdym jednym względem.

Następnego dnia, kiedy powoli opuszczałem hotel, widziałem nowe zastępy „uzbrojonych po zęby” ludzi, gotowych do drugiego dnia świętowania. Każdy raz w życiu powinien to przeżyć na własnej skórze, to naprawdę oczyszczające.

Podsumowując: z całego serca polecam wakacje w Indochinach – Wietnamie, Tajlandii, Laosie i Kambodży. Nie widziałem jeszcze większości państw na świecie, ale to, co zobaczyłem do tej



pory, pozwala mi stwierdzić, że tutaj każdy znajdzie coś dla siebie, bez względu na swoje potrzeby czy oczekiwania: piękną przyrodę, wspaniałych i gościnnych ludzi oraz uczciwe ceny. Infrastruktura turystyczna jest na światowym poziomie, gdzie byśmy nie pojechali. Był to cudowny wyjazd i zostaną po nim piękne wspomnienia.







*fot. Krzysztof Danielewicz*





*fot. Krzysztof Danielewicz*













Zdjęcie 190–195. Święto Songkran w Bangkoku.